FILARECI I FILOMACI.

LIST

IGNACEGO DOMEJKI.

Cena 10 sgr.

POZNAŃ.
NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.
1872.

Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łebinski) w Poznaniu.

KATALOG NAKŁADOWY I KOMISOWY

KSIĘGARNI

JANA KONTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO

W POZNANIU, Ulica Nowa Nr. 7.

(Dzieła oznaczone * są komisowe lub w większéj ilości nabyte).

*Działyński Adamus Titus comes de Kościelec, Collectanea vitam resque gestas Joanis Zamoyscii magni cancellarii et summi ducis reipublicae polonae illustrantia 1861. 5 tal.

*Działyński Adamus Titus comes de kościelec. Zrzódłopisma do dziejów Unii Korony Polskiéj i W. Księstwa Litewskiego. Część II. oddział I. 1861. 4⅙ tal.

*— Zrzódłopisma do dziejów Unii Korony Polskiéj i W. Księstwa Litewskiego. Część III. Diariusz Lubelskiego Sejmu Unii. Rok 1569. 1856. 4⅙ tal.

Dieje narodu polskiego. (Rys dziejów porozbiorowych od 1796 — 1834). 1870. 2 tal 20 sgr.
Dzieło to znacznie powiększone weszło jako VI. tom do dzieła pod tytułem: Dzieje narodu polskiego, przez Teodora Morawskiego. — Polska pod obcem panowananiem. —

Dzieje panowania Augusta II. od śmierci Jana III. do chwili wstąpienia Karola XII. na ziemię polską. 1856. 3 tal

*Dzieje błogosławionego Ojca Andrzeja Boboli kapłana Towarzystwa Jezusowego za wiarę katolicką od schyzmatyków okrótnie zamęczonego 1657 roku spisane przez ks. Ambrożego Świętomiana. Paryż 1854. 20 sgr.

Dziubińska. Błędy, których się wystrzegać należy, mówiąc po francuzku wraz z ich sprostowaniem dla wygody panienek Wielkopolskich 1841. 5 sgr.
— Babie lato panny Dziubińskiéj nie babom poświecone. 1841. 5 sgr.
— Medytacye zawsze i jedynie wygodzie panienek wielkopolskich poświęcone. 1841 5 sgr.

*Dźwięki minionych lat (1835 i 1836). Paryż 1848. 10 sgr.

Eljasz Walery Illustrowany przewodnik do Tatr, Pienin i Szczawnic. w 8ce str. 254, z 22 illustracyami i mapą Tatr 1870. 1 tal. 15 sgr.
oprawny w płótno 1 tal. 22½ sgr.

*Emisaryusz, poemat Wł... Nakładem autora. 1859. 15 sgr.

Estkowski E. Elementarzyk ułożony wedle metody pisania i czytania. 1862. 3 s ia.
— Metoda pisania i czytania. 1862. 8 sgg.
— Nauki wiejskie tyczące się gminy, życia i stosunków wieśniaka 1851 r 25 sgr..
— Pisma pedagogiczne. Tom I. 1863. (Cena pierwotna 1 tal. 10 sgr. 1 tal.
— Zbiorek rzeczy swojskich ku nauce i rozrywce dla młodzieży. 1859. 1 tal.

Feldmanowski H. Drobnostki poetyczne. 1861. 20 sgr.
— Pieśni ilirskie. 1861. 20 sgr.
— Przyczynek do historyi sporów i pisownią pana prof. L. Rrzpeckiego. 1868. 2½ sgr.
— Wenecya w przededniu r. 1866. 1866. 10 zgr.
— Życie Benvenuta Cellini złotnika i rzeźbiarza, z włoskiego przełożone 1868. 1869. 2 tomy. 2 tal. 20 sgr.

FILARECI I FILOMACI.

FILARECI I FILOMACI.

LIST

IGNACEGO DOMEJKI.

POZNAŃ.
NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.
1872.

(Oddruk z Rocznika Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu) na rok 1870.

Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łebiński) w Poznaniu.

FILARECI I FILOMACI.

LIST

IGNACEGO DOMEJKI.

Kochany Panie B..........

Pół wieku minęło od czasów i wypadków, o których mi każesz pisać; trzydzieści i dwa lata, jak wiesz, przeżyłem o tysiąc mil od Polski, między Amerykanami; osiadły republikanin, nie z teoryi, ale w praktycznem życiu, skołatany tylu przeciwnościami i zawiedzionemi nadziejami, przypomnęż sobie, co za wiosennych lat świeciło mi w serdecznem życiu z tylu zapaleńcami, którzy już wszyscy prawie poumierali? Oh! gdyby myśl i uczucie były pod jakimbądź względem płodami materyalnych sił i czynników, któżby szukał i pocóżby miał szukać tego, co ubiegło i coby bez wątpienia już przemarło, przegniło, przerzuciło się w proch i nicość? Tymczasem, to co było, porywa nas i unosi wyżéj i silniéj niż to, co jest, i w tém, co było, żyjemy ciągłą młodością, na przekor siwiźnie naszéj i schyleniu.

Trudno tylko i codzień trudniéj wysłowić, wypowiedzieć, co jakby przymglone od tylu zewnętrznych burz i zawieci, tuli się do duszy; jak zestarzałemu śpiewakowi co traci głos, trudno wyśpiewać te słodkie akordy i melodye, które nieustannie grają w jego duszy i zdają się już należeć do lepszego, do wyższego świata.

Tak mi też trudno dziś władać piórem, kiedy się bierze do pisania o szczęśliwych latach naszéj wileńskiéj młodości, o któréj niepodobna wspomnieć bez wywołania z grobu Zana, Adama,

Czeczota i tylu innych. Wiem, pewien jestem że pamiętam, że widzę całą ową przeszłość: nie zmarnowałem, nie zgubiłem, wałęsając się po dalekich krajach, nic z tego, co wyniosłem z domu; ale wypisać, przelać na papier to, co się działo, niepodobna. Co słowo to się przerywa nić, co chwila to się przypomina i zapomina, a im się bardziéj natęża chęć i pamięć, tem się wydatniéj czuje bezsilność i niemożność.

Zacznę jednak.

Było to za czasów kuratoryi ks. Adama Czartoryskiego, którego wpływom i zabiegom winien był uniwersytet Wileński wiele wolności i pewien samorząd, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności, spotkali się z sobą i zaprzyjaźnili się w tymże uniwersytecie: Zan, Jeżowski, Malewski i świeżo przybyli ze szkół Nowogródzkich, Czeczot i Mickiewicz. Do nich przyłączył się wkrótce Pietraszkiewicz, Łoziński, a potém innych pięciu. To było pierwsze grono, którego wpływ na ówczesną młodzież nie łatwo jest określić i dostatecznie ocenić.

Z początku nie myślili oni zapewne o niczem więcéj jak żyć z sobą ściśléj, niż z innymi, widywać się jak najczęściéj, szukać wspólnej zabawy i nauki. Rzecz dziwna! różnili się z pozoru ci młodzi ludzie w charakterze, w humorze, rzekłbyś w skłonnościach i usposobieniu. Zan uczył się nauk fizycznych i matematyki, Jeżowski oddany był filozofii i filologii, Malewski chodził na odczyty prawne; Mickiewicz przekładał nadewszystko historyą i literaturę nowożytną, a choć był jednym z najlepszych uczniów Grodka, nie lubił katedr uniwersyteckich, nudziły go, sam sobie był professorem. Czeczot sposobił się na adwokata przy nader nudnym i suchym mecenasie, chodził ze statutem i papierami pod pachą; Kowalewski cały był zatopiony w łacinie i greczyznie. Drudzy, jak Pietraszkiewicz, Łoziński, uczyli się nauk przyrodzonych, a jednocześnie chodzili na lekcye literatury polskiéj Borowskiego i starożytnéj Grodka. Wszyscy bez wyjątku byli miłośnikami Lelewela i w stosunkach blizkich z Kontrymem bibliotekarzem uniwersyteckim, człowiekiem bardzo zacnym, nieco gdérą, kapryśnym i niepzryjacielem szlachty, ale przystępnym dla wszystkich, ruchawym i wielkim budzicielem do pracowitości i oświaty.

Zimny i poważny, blady, najczęściéj zadumany Józef Jeżowski, mało mówił i rzadko kiedy wdawał się w żarty, sprzec i dyskussye, a kiedy zabierał głos w rzeczy tyczącéj się dobra kraju, to zawsze mówił spokojnie, poprawnie, z najsurowszą logiką

i do przekonania. Pochodził on z okolic Humania; był nader surowych obyczajów, lubił samotność, wiele czytał, mianowicie autorów klasycznych starożytnych; w filozofii trzymał się Kanta, ale nikomu nie narzucał swoich przekonań. Równie surowy dla siebie jak pobłażający dla drugich; pamiętam, kiedy razu jednego opowiadano jakiś czyn, w którym było związane głupstwo z wielkiem upodleniem i nikczemnością, a myśmy się srodze oburzali na człowieka, który go popełnił i ze zgrozą powstawaliśmy na samo wspomnienie szkaradnego czynu, spokojny Jeżowski rzekł: „w istocie, trudno powiedzieć, do jakiéj klassy i rodzaju ułomności i słabości ludzkich należy rachować ten czyn; niktby go nie wymyślił a priori.“

Jakże różny od Jeżowskiego w ułożeniu, humorze i w charakterze był Jan Czeczot. Żywy, tkliwy, wesoły, bratający się ze wszystkimi, prosty i poufały równie z najmłodszymi jak i z najnieuczeńszymi, śpiewny, czuły na wszelkie wrażenia, litujący się i gniewający się z łatwością, pobłażający mianowicie dla skromnych i pokornych, prawdziwie wieśniaczéj natury; a przy tem pobożny i dobry katolik: był zawsze gotów służyć nam, ale też i gdérał i napominał, kiedy co niedobrego w nas obaczył: bo chciał, aby jego przyjaciele, mianowicie Adam, byli wolni od wszelkich wad, nawet powszednich.

Trudniéj opisać różny bardzo od poprzednich w tym czasie charakter Mickiewicza. Możnaby wprawdzie powziąść o nim niejakie wyobrażenie z jego ballad i dwóch pierwszych części Dziadów, które w tym czasie napisał: nie był on jednak tak posępny i melancholiczny, jakby się z tych jego utworów zdawało; lubił być wesołym, kiedy się znajdował ze swoimi, mianowicie z Zanem, Czeczotem, Malewskim, i dziwnie przyjemnym był natenczas. Jego piękna twarz, koralowe usta, namiętne oczy, gęsty hebanowy włos, przyjemny dźwięk mowy, pewność siebie i niepospolita bystrość, — wszystko to sobie dziś przypominam i staje mi na oku jego obraz w najżywszych kolorach. Nie zajmował się on wprawdzie urządzeniem towarzystw tajnych, ani pisaniem ustaw dla nich, ani ich zawiązywaniem między młodzieżą; ale się radzono go w rzeczach tyczących się kierunku, zasad i celów i słuchano go, bo jego sokole oko widziało dobrze i daleko. Powołany zbyt wcześnie na nauczyciela do Kowna, od czasu do czasu widywał się z nami, a każdy jego przyjazd do Wilna był uroczystością dla nas. On pisał pieśni dla nas, jego tylko pieśni śpiewano, a temi pieśniami panował, ożywiał, utrzymywał ducha

między młodzieżą; w wierze był może natenczas więcéj poetą niż powolnym sługą Kościoła; ale jego utwory w formie i duchu katolickie, oddana w nich w całéj swéj prostocie wiara i pobożność ludu naszego, wielce się przyczyniły do uratowania ówczesnéj młodzieży od suchego sceptycyzmu, wolnomyślnego niedowiarstwa i materyalnéj rachuby, które z taką siłą ogarniały młodzież na innych uniwersytetach.

Figurą najniepoetyczniejszą ze wszystkich był bez wątpienia Łoziński. Szerokiéj twarzy, barczysty, nie wysoki, nieco twardych rysów, przekładał nad zbyteczne uniesienia, życie praktyczne, dobry byt, niezależność: nie oddawał się żadnéj wyłącznie gałęzi nauk, ale był dobrze obeznany tak z literaturą jako też z naukami przyrodzonemi i matematyką. Był on z Wołynia, z Krzemienieckiéj szkoły, wielbiciel Czackiego i ks. Osińskiego. Zawsze w dobrym humorze, rubaszny, umiał skarbić przyjaciół i miał przewagę między młodzieżą; zajmował się dawaniem lekcyj na pensyach panien i w prywatnych zakładach.

Nikt jednak nie dorównał w popularności, w sposobach i darze podobania się i pociągnięcia ku sobie młodzieży, panu Tomaszowi Zanowi, od którego powinienem był zacząć.

Zan był z powiatu Nowogródzkiego, gdzie miał bardzo szanownego stryja, który się nim opiekował, księdza kanonika Zana, proboszcza w Połoneczce (o dwie mile od domu rodziców moich). Był jak to mówią człowiekiem powszechnym: posiadał gruntowną znajomość nauk przyrodzonych i doświadczalnych, był dobrym matematykiem i poetą, znał literaturę i historyą naszę i języki starożytne; był wielkim miłośnikiem sztuk pięknych, mianowicie muzyki, którą znał dobrze, i śpiewał wybornie. Średniego wzrostu i nieco śniadawéj twarzy, miał małe ogniste oczy, włos ciemny kędzierzawy, czoło wyniosłe, nieco zwężające się u góry. Kiedy śpiewał, improwizował i wpadał w uniesienie, mówiono, że z jego czoła i oczu strzelały jakoby promienie, któremi zdobywał i pokonywał serca tych, co go słuchali.* Umiał z równą łatwością zniżać się do pojęcia niewinnych dzieci, bawić je i nauczać, jak wchodzić w rozprawy z najzimniejszymi uczonymi i z ludźmi podeszłego wieku. Zawsze wesoły, wypogodzonéj twarzy, żartobliwy, lubił płeć piękną, niewinną, a był bardzo przykładny w obéjściu się z nią; estetyczny, miłośny, nie mógł znieść najmniejsze-

* Ztąd poszła owa promienistość i nazwanie Promienistych, o których będzie niżéj.

go słowa w młodych ludziach, któreby zakrawało na nieobyczajność, zepsucie i zmysłowość, a niecierpiał rozpustnych. Utrzymywał, że piérwszym krokiem do nieuczciwości, upodlenia i zdrady jest niepowściągnienie grubych skłonności, obżarstwo i rozpusta, które zarażają otaczającą atmosferę swędem i zgnilizną: to też dowodził, że muzyką i poezyą, czystością obyczajów i miłością można uratować z upadku najbardziéj zepsutych ludzi. Znany był też i lubiony p. Tomasz ze swoich ballad i tryoletów które śpiewano a do których sam dorabiał muzykę; czytano z przyjemnością jego poemat Pan Twardowski, i on urządzał muzykę do śpiewów, które przysyłał nam z Kowna Mickiewicz. Utrzymywał się z dawania prywatnych lekcyj i był guwernerem Władysława, Józefa i Aleksandra, synów pana Jana Chodźki (autora pana Jana ze Swisłoczy) i młodych Slizniów z Nowogródzkiego.

Najrubaszniejszy z całego grona, najruchawszy, istny zapaleniec, był Onufry Pietraszkiewicz: na niego spadała mianowicie materyalna praca w urządzeniu towarzystw, on był mistrzem ceremonii, archiwistą, skarbnikiem; przyrządzał małe uczty, kiedy chodziło o obchód przyjazdu Adama z Kowna lub jakich imienin. Jedynym jego żywiołem i warunkiem bytu była narodowość, dobro kraju, przeszłość i przyszłość Polski. On tylko jeden nosił wąs zawiesisty na pamiątkę Sobieskich, Pułaskich, i lubił śpiewać: „ozdobo twarzy pokrętne wąsy“; nienawidził moskalów jak piekła. Znałem go od lat szkólnych, bo był moim guwernerem w Szczuczynie, a potem ze mną na oddziale nauk fizycznych w uniwersytecie.

Różniący się od wszystkich z powierzchowności, choć tychże samych uczuć i zasad, był syn ówczesnego rektora, Franciszek Malewski. Był to prawnik, większy od wszystkich nas polityk, światowy, znający wyższe towarzystwo, mówił czysto, jasno, ze zdrowym rozsądkiem; władał z łatwością nowożytnemi językami i dobrą łaciną bronił swojéj rozprawy na magistra prawa; przy tem, dobrego humoru, przyjemnéj twarzy, znawca i lubownik sztuk pięknych, towarzyski i praktyczny.

Owóż siedmiu młodych uczniów uniwersyteckich, którzy od zbliżenia się ku sobie uczuli piérwszy popęd do wywarcia wpływu na młodzież wileńską. Nie mam potrzeby powtarzać, że siłą tego popędu i bodźcem do czynności a głównym celem było dobro kraju, stara Polska, przechowanie narodowości i charakteru polskiego.

*
* *

Wielkie i nieustanne konspiracye ryły natenczas Europę, wywoływane panowaniem świętego przymierza we wschodnich i środkowych państwach, a restauracyą burbońską w zachodnich. Mnożyły się tajne towarzystwa; po czarnych lochach nurtowało życie polityczne, szukało siły w przysięgach, którym nie wierzyło, w sztyletach, intrygach i w sztucznych organizacyach, o ile było można, zabezpieczających towarzystwa od wzajemnych zdrad i podstępów. Masoństwo, karbonaryzm, etc. podkopywały porządek towarzyski. Jak w obsaczeniu i zdobywaniu twierdzy, tak w tem ubijaniu się wolnych przeciw samowoli, prowadzono miny i kontraminy; z pod otwartego despotyzmu, zaciągali się ludzie do sekretnéj służby, do podziemnego zaklęcia, z pod policyjnych straży i inkwizycyj, pod terroryzm zakrytego mistrza i tajemnéj rady. Plątana w owe zaklęte kluby i towarzystwa młodzież, nawykała do intrygi, skrytości, obłudy, niedowierzania sercu i przyjaźni, jak to wyjawia ów napis w Weneckiem więzieniu: „Broń mię o Boże! od przyjaciół moich, bo od nieprzyjaciół sam siebie obronię.“

Były więc w tym czasie towarzystwa tajne na porządku dziennym: były czasową koniecznością; i nie bez nich w Moskwie jak w Turynie, w Warszawie jak w Madrycie i po całych Niemczech obejść się nie mogło.

Ten sam duch ogarnął i naszych siedmiu przyjaciół; ale też od razu pojęli oni, i w tem ich wielka zasługa przed Bogiem i krajem, jakie niebezpieczeństwo groziło tajnym towarzystwom, nie tyle ze strony rządu, który już szukał pretextu do ścieśnienia wolności uniwersyteckiej i do prześladowania niewinnych, ile z uwagi na zepsucie a przynajmniéj na osłabienie moralnego charakteru i obałamucenie umysłów naszéj szlachetnéj, poczciwéj młodzieży, gdyby ją usiłowano podciągnąć pod włoskie i niemieckie formy tajemnych klubów, demagogicznych zborów, sztyletowych zaprzysiężeń i ślepego poddania się ukrytéj i nieprawéj hierarchii.

Pierwéj nim się wzięto do napisania dla siebie ustaw, wymienieni towarzysze już byli towarzystwem uorganizowanem; spokojnie naradzali się nie spisując rozpraw i protokółów. Widzieli jasno, że do zbliżenia ku sobie i związania młodzieży w tajne towarzystwo, należało unikać wyraźnie celów politycznych: kochać Polskę, chcieć Polski, to jedyna polityka dla nas; i potrzebaż do tego propagandy, wtajemniczenia, konspiracyi niewczesnéj? potrzebaż tajemnych schadzek, sekretów, sprzysiężeń,

na to co każdemu na myśli, co we krwi i kościach naszych? Byłożby rozumniéj przybrać dla zjednoczenia młodzieży jakie godło socyalne, jaką wyłączną doktrynę? Nieprzyjaciel nas zrównał; odjęciem wolności nauczył ją kochać; a przypuściwszy że cała wielkość naszéj przeszłości, nasz duch narodowy katolicki, nasz upadek, niezaszczepiły, lub nie zdołają zaszczepić w młodych pokoleniach zupełnego braterstwa, toć nie narzuceniem jakiéj nowéj doktryny, lub sztucznem upstrzeniem umysłów w jakie socyalne dogma zdołanoby pobratać z sobą młodzież, owszem podzielonoby ją na partye, co z łaski bożéj nieznane było wówczas między nami, ni z rzeczy ni z imienia.

Potrzeba jednak było zjednoczenia; nadchodziła epoka dotkliwszych prób i sroższego prześladowania: należało szukać sposobów do przechowania języka, literatury, podań historycznych, do ożywienia i utrwalenia charakteru i ducha poświęcenia się, prostoty i rozumu w obec chytrego wroga. Jakże się wziąść do tego, żeby nieściągnąć od razu podejrzenia rządu i nie narazić samego uniwersytetu i jego młodzieży na niebezpieczeństwo? Uchwycono się nauki, potrzeby uczenia się, potrzeby oświaty, za cel towarzystwa, tak aby nawet na przypadek jego odkrycia było się czem zasłonić przed nieprzyjacielem.

To było powodem, że nasi założyciele pierwszego towarzystwa przyjęli dla niego imię Filomatów i zastrzegli w pierwszym artykule swoich ustaw, że się nie będą zajmować polityką, tylko propagandą naukowéj oświaty i braterstwa między uniwersytecką młodzieżą. Ustawy były krótkie i jak było można najprostsze: prezes, sekretarz, skarbnik (opłata nie przechodziła dwóch złotych na miesiąc); na posiedzeniach czytano literackie prace i naukowe rozprawy, w których przedewszystkiem przestrzegano czystości języka, a przedmiotem ustnych narad miało być wyłącznie obmyślanie środków dążących ku szerzeniu oświaty i braterstwa między młodzieżą, ku utrzymaniu w niéj narodowego ducha, tak aby każdy przekładał dobro powszechne nad interes prywatny i szanował bardziéj cnotę i uczciwość obywatelską niż wszelkie dostojności światowe, bogactwa i wyniesienie się. W pożyciu zaś między członkami towarzystwa zalecano przedewszystkiem szczerość i wzajemną pomoc.

Prezesem Filomatów od początku aż do rozwiązania Towarzystwa był Jeżowski, sekretarzem Pietraszkiewicz. Posiedzenia odbywano co dwa tygodnie, a w razie potrzeby częściéj, ale zawsze w tajemnicy; na nich czytał każdy prace swoje w gałęzi

nauk, którym się poświęcał a potem naradzano się nad sposobami rozszerzenia się towarzystwa i jego działaniem na zewnątrz. W szukaniu mianowicie i przyjmowaniu nowych członków zachowano wiele ostrożności; wyznaczono na to osobnych komisarzy dla śledzenia i poznawania kandydatów i nie pierwéj wyjawiano nawet już wybranym na członków byt towarzystwa, aż się zupełnie przekonano, że nowo wybrany zgadzał się całkiem na zasady przyjęte w organizacyi tego towarzystwa. Pospolicie używano do tego następnéj filuteryi. Dwóch czy trzech członków wyznaczonych do poznania kandydata proponowało mu założenie towarzystwa, układało z nim statuta i całą organizacyą odpowiednią téj, jaka była przyjętą u Filomatów, i kiedy cała ta robota udana, któréj on sądził się być współautorem, była ukończona, wprowadzono go na posiedzenie, oświadczając, że to, czego chciał, już exystuje od dawnego czasu. Przy przyjęciu nowego członka nie było wielkich ceremonii, ni groźb, ni przysiąg: co się nie zawsze było podobało panu Pietraszkiewiczowi, ktory na ten akt zwykł przynosić krucyfiks i wymagał, aby solenne przyrzeczenie tajemnicy i poświęcenia się dobru powszéchnemu odbyło się w obec wizerunku Zbawiciela.

Nie śpieszono się też z powiększeniem towarzystwa, a ostrożność była tak wielka, że piérwszego roku jego zawiązania zaledwo pięciu nowych członków, a na drugi rok tylko dwóch czy trzech innych przyjęto. W tym to czasie wszedł do Filomatów ś. p. Jan Sobolewski, najbieglejszy z naszych fizyków i matematyków: piękny człowiek, piękna dusza, umarł piérwszy ze wszystkich na wygnaniu w głębi Rossyi sprawując służbę inżyniera przy wodnéj kommunikacyi (jeżeli się nie mylę) na Ładodze; i prawie jednocześnie przyłączył się do towarzystwa uczony nasz filolog Józef Kowalewski, najulubieńszy uczeń Grodka, pracowity, cichy, lubiony od młodzieży: obaj należeli do instytutu nauczycielskiego przy uniwersytecie. Wkrótce po nich przyjęto adwokata Maryana Piaseckiego, jednego z najznakomitszych adwokatów wileńskich, który potem wyszedł na adwokata komissyi Radziwiłłowskiéj; i zimnego matematyka Budrewicza,* kochanego oryginała, z dobrem sercem i zupełną obojętnością na przygody życia. Miał on przyjaciół i stronników, mianowicie między uczniami matematyki, których był repetytorem i znany z wielkiego roztargnienia

* Ten sam, któremu Mickiewicz przypisał balladę Trzech Budrysów, tak od jego imienia nazwaną. Przyp. Red.

jakiemu ulegał. Powiadal mi Pietraszkiewicz, że kiedy stawono go przed policmajstrem moskiewskim i poczęto w inkwizycyi od zwyczajnéj formuły: „kak prozywajesz sia?“ zamyślony i uderzony jakąś formułą matematyczną, Budrewicz zapomniał jak się nazywa i pytał stojącego przy nim Pietraszkiewicza o swoje własne nazwisko, a na złość i porywanie się policmajstra uśmiechal się.

W następnym dopiero roku weszli do Filomatów, ksiądz Chlewiński, który sprawował parafialną służbę przy kościele Święto-Jańskim a potem wyjechał na proboszcza do folwarku państwa Chlewińskich w Nowogródzkie; zacny Kozakiewicz, który znalazł śmierć na Syberyi przy żonie i dzieciach po wojnie listopadowéj, * i jeden Białostoczanin, uczeń prawa, powszechnie kochany, którego fizognomią tak dobrze pamiętam, że dziśbym ją odmalował gdybym był malarzem, ale nazwiska nie pamiętam; wiem tylko, że pierwéj nim przyszło do rewolucyi listopadowéj już go porwali Moskale i wywieźli na Syberyą, gdzie umarł.

Nakoniec i mnie niegodnego, najmłodszego ze wszystkich wiekiem i nauką przyjęli do siebie Filomaci, bardziéj z serca niż z potrzeby.

Owóż całe towarzystwo filomatyczne, już urządzone i ustalone, nie liczyło więcéj nad 14 członków. Jego realne życie nie było na posiedzeniach ale w nieprzerwanem, w nieustannem znoszeniu się członków jednych z drugimi. Godziny wolne od pracy, przechadzki w okolice Wilna, wieczory zimowe do późnéj nocy schodziły im na wspomnieniach przeszłości, na projektach i naradach nad sprawą publiczną, a zawsze przyszłość Polski była im na myśli. Bez wątpienia, przyjemnie jest dziś przypomnieć owe posiedzenia, które z wielką powagą zagajał Jeżowski, na których Pietraszkiewicz czytał dobrze zredagowane akta, Mickiewicz swoję Grażynę, odę do młodości i hymn, Jeżowski, Kowalewski, Malewski swoje pierwsze filozoficzne, filologiczne i prawne próby, Sobolewski, Budrewicz matematyczne, Zan i Czeczot literackie, a częstokroć żartobliwe, krotofilne utwory; ale wyznaję, że przyjemniéj jeszcze dla mnie przypominać nasze przechadzki, rozmowy i zabawy.

Były szczególnie wesołe i zajmujące, a niekiedy do białego dnia przeciągające się, nasze obchody imienin Zana, Jeżowskiego

* Zesłany był do ciężkich robót za sprawę Szymona Konarskiego w 1838 roku. Przyp. Red.

lub Adama, który na kucyą przyjeżdżał z Kowna i przyjmowaliśmy go sowicie. Nie pamiętam z jakich powodów Pietraszkiewicz miał blizkie stosunki z rządcą pałacu Paca i to nam dawało wstęp i sposobność do zbierania się na swe obchody i na posiedzenia do zamkniętych pospolicie pokojów jenerała, o czem sam dostojny gospodarz żyjący w Warszawie nie wiedział.

Na jedne ze swoich imienin, pamiętam, jakby to się dziś stało, przywiózł Adam swoję pieśń „Hej użyjmy żywota“ która to pieśń stała się potem uroczystą pieśnią nie tylko Filomatów ale Filaretów i Promienistych. Na te imieniny przyrządził Pietraszkiewicz transparent, na nich Zan witał wierszem solenizanta i zdawał mu wierszem sprawę z czynności i życia Filomatów, potem śpiewał swój tryolet:

Wróć Feli spokojność moję,
Bo nie wiem co będzie ze mną;
Kocham, trwożę się i boję,
Wróć Feli spokojność moję.

Albo zakryj krasę twoję,
Albo kochaj, bądź wzajemną;
Wróć Feli spokojność moję,
Bo nie wiem co będzie ze mną.

a był zakochany w młodéj i pięknéj pannie Felicyi Przeciszewskiéj, ale tak platonicznie, że i ona sama o tem niewiedziała; Czeczot zaś śpiewał na powinszowanie Adamowi na nótę naszych pieśni wieśniaczych, i ich narzeczem piosneczkę, którą po upływie pięćdziesięciu lat niewiem jakim sposobem dziś przypomniałem, wiersze i nótę, chociaż do wierszy nigdy nie miałem pamięci:

„Ach sztoż my waszeci skażem,
Prostaho sieła dziewczata,
Jakiejoż pieśnieczki zwiażem;
U nas myśl niebahata, u nas myśl nie bahata.
Ale jak myślim, jak czujem,
Tak tabie zaśpiewajem,
Tak tabie powinszujem;
Nieszczyrości nie znajem, nieszczyrości nie znajem.
Budź jak lisiczka* zdarowy,
Jak konik wiesieł pry trudzie;
Niech twaje pismo i mowy
Jak saławiej hołos budzie, jak saławiéj hołos budzie.

* Ze wszystkich grzybów litewskich lisiczki są jedyne, których żaden owad nie gryzie i starzeją zdrowe, zachowując swój piękny kolor żółto-czerwoniawy. Żydzi Litwy przenoszą lisiczki nad inne grzyby dla tego, że nierobaczliwe i dużo ich zjadają.

Ta pieśń już może zaginęła i sam Czeczot może jéj był zapomniał przed śmiercią. Pan Onufry tymczasem przyrządzał herbatę, łakocie i dobył węgrzyna, a potem zaintonował: „Za szumnym Dniestrem, na Cecorskiem błoniu“ i ulubione jego: „W szlachetnym domu, znanym tylko z cnoty.‘, Na jutrznię dzwoniono, kiedyśmy się rozeszli.

Kiedy Adam był znudzony i zapadał na tęsknotę w Kownie, to do niego jeździli nasi w gościnę i razu jednego wybieraliśmy się do niego iść piechotą: wszystko było przygotowane do podróży i niepamiętam co stanęło na przeszkodzie do jéj wykonania. Mogę powiedzieć, że choć oddalony na wiele mil od nas, Mickiewicz był duszą Towarzystwa.

Pierwsi też Filomaci znacznie się przyczynili swoim wpływem na młodzież do wspaniałego przyjęcia, jakie znalazł Lelewel za powrotem do Wilna, kiedy, w skutek konkursu na katedrę historyi, był mianowany profesorem uniwersytetu. Żadna z najobszerniejszych sal uniwersyteckich nie wystarczyła na pomieszczenie uczniów, którzy się zbiegli na otwarcie jego kursu; musiano odłożyć to otwarcie na drugi dzień, i przeznaczyć na to ogromną salę, która się otwierała tylko raz na rok, to jest: w dzień kiedy cały senat profesorów, w pąsowych togach i biretach, zbierał się na zamknięcie roku szkólnego i niesiono duże srébrne berło przed rektorem. Zasiadł na krześle rektorskiem Lelewel nieco skurczony, patrząc z ukosa ku ziemi, wśród okrzyków tysiąca młodzieży, a skoro począł mówić, nastała cichość zupełna i głos Lelewela nabierał coraz większéj mocy i doniosłości; przy końcu wpadł w taki zapał profesor i obudził takie uniesienie w młodzieży, jakich nigdy dotąd i potem niewidziano na odczytach w uniwersytecie Wileńskim. W parę dni późniéj obiegał po całem mieście znany wiersz Mickiewicza do Lelewela*, który przygotował niejako uczniów do słuchania nowego kursu historyi i powiększył w nich bardziéj jeszcze uwielbienie i miłość ku Lelewelowi.

* * *

* Na koszta druku zbierał składkę Czeczot. Wiersz do cenzury podany był pod imieniem Mikołaja Malinowskiego, bo się lękano, aby imię Mickiewicza nie było przeszkodą w otrzymaniu pozwolenia na drukowanie. Przyp. Red.

Trudno dziś sobie przypomnieć i dokładnie opisać wszystkie ważniejsze wypadki, które w dwóch pierwszych latach istnienia towarzystwa zaszły w Wilnie, a w których pośrednio lub bezpośrednio brali udział Filomaci. Obudzający się duch w młodzieży akademickiéj, na którą wpływ wywierali, coraz bardziéj odrywał ich od wewnętrznego ograniczonego ustawą życia, i dawał czuć potrzebę rozwinięcia działań na zewnątrz. Już dla nich za ciasne było koło, w którem zespolili swoję pierwotną czynność i energią, każdy z osobna przygarnął był do siebie pewną liczbę przyjaciół, z którymi starał się utrzymywać bliższe stosunki, ale środkiem ruchu i działalności był dom Tomasza Zana, który nas wszystkich przewyższał w darze podobania się i pociągania do siebie młodych ludzi. Jego wesołość, poetyczność, oznajomienie ze wszystkiemi gałęziami nauk i sztuk pięknych, otwartość i pewien takt w obejściu się, czyniły go wielce popularnym. Z przyczyny że miał pod swoją opieką wielu uczniów, jego mieszkanie w domu Kukiewicza było obszerniejsze i cisnęła się do niego młodzież jak do ogniska zabaw i nauki. Miał też przy sobie dwóch braci równie serdecznego ujęcia jak on; Stefana, który w dziesięć lat potem poszedł na tułactwo, i Ignacego, sposobiącego się wtenczas na lekarza. Oni mu wtórowali w śpiewach i zabawach, oni przytrzymywali tych co z razu nieśmieli przybliżyć się do Tomasza. Tu poczynało rozkwitać grono młodych, zaledwo szesnastoletnich poetów, jak Alexander Chodźko, Antoni Edward Odyniec, Ludwik Szpicnagel, którzy dalekimi byli wtenczas od przewidzenia burzliwéj przyszłości swojéj. Wymyślono, jakem już powiedział, że nie tylko z oczu, ale i z czoła Tomasza, ilekroć razy był otoczony swemi kochanemi dziećmi, wychodziły promienie, które przenikały duszę każdego, co był sposobny do przejęcia się uczuciem cnoty i piękności, a odbijały się w powietrzu lub gasły, ilekroć napotykały na zimne lub nieczyste serce.

Nadchodziła wiosna (było to w 1819 czy 1820 roku, mniejsza o datę); umyślono wyprawić „majówkę“, zapraszając do niéj tych wszystkich, których uważano jakoby upromienionych miłością Tomasza — i tych wszystkich których Filomaci mieli już na oku. Żeby nie zwrócić na siebie uwagi policyi, uradzono pójść daleko na Popławy, zbierać się jak najciszéj na rozmaitych punktach w mieście, i iść spokojnie różnemi ulicami aż do wyjścia na zieloną dolinę, za którą piękne wzgórze o milę za miastem wyznaczono na miejsce zebrania.

Jakoż słońce poczynało wschodzić na czystem pogodnem niebie, kiedy się poczęły ukazywać wychodzące z miasta na ową dolinę pierwsze oddziały, liczące 20 do 30 uczniów, którzy różnemi drogami, lub bez drogi, ciągnęli na umówione wzgórze, śpiewając wesołe pieśni, zbierając kwiaty i zrywając gałązki świeżo rozpuszczonych krzewów. Na wzgórzu przygotowane były wiadra z mlekiem, biały chleb i świeże ciasta.

Wszyscy się już byli zeszli, tylko brakowało Zana, kiedy po chwili spostrzeżono go w towarzystwie kilku innych, jakoby o parę staj za nami i poczęto go z daleka witać jako mistrza Promienistych. Uporządkowali się potem wszyscy w jedno obszerne koło, a skoro przyszedł Zan, stanął we środku i huknęli: „Hej użyjmy żywota, wszak żyjem tylko raz“, pieśń którą już byliśmy puścili między zaufańszymi.

Po czem przemówił Tomasz wierszem, który, jeżeli nie zaginął, da najlepsze wyobrażenie o duchu owego zebrania. Śpiewano też drugą poważną pieśń, z której pamiętam tylko jedną zwrotkę:

Pochlebstwo, chytrość i zbytek,
Niech każdy przed progiem miota;
Bo tu mają swój przybytek,
Ojczyzna, nauka, cnota!

Ostatni wiersz chórem powtarzaliśmy wszyscy. Tu zaraz poczęli popisywać się jedni przed drugimi, nasi młodzi zagorzalcy, jedni wierszem, drudzy prozą, inni wierszem i prozą, a potem przyszło do zabawy; biegaliśmy po murawie, piliśmy mleko, a co chwila to ktoś z weselszych odczytał jakiś ułamek swojego utworu.

Około dziesiątej wracaliśmy do miasta, podzieleni na oddziały, tak jak pierwéj, a że to była niedziela, uradzono pójść na mszą do kościoła św. Jana, co niemało zadziwiło publiczność, ponieważ nigdy nie widziano kościoła tak przepełnionego uczniami uniwersyteckimi jak tego razu.

* * *

Ta pierwsza majówka Promienistych, na któréj, jak się łatwo domyślić, nie byli bezczynnymi Filomaci, i mieli porę do

poznania młodzieży, do odróżnienia szczerych i otwartych, od lekkomyślnych przechwalców, lub skrytszych, którzy „nie lgnęli do fali ani fala do nich", obudziła niezwyczajny ruch i czynność w młodzieży. Wiązali się jedni z drugimi, ponawiali wieczorne przechadzki za miasto i na nich śpiewano narodowe pieśni.

Spostrzegli Filomaci, że nie było czasu ociągać się i należało utworzyć towarzystwo od razu liczniejsze, z zastosowaniem do jego organizacyi zasad, które z doświadczenia okazały się najbezpieczniejszemi a razem najkorzystniejszemi dla nas. By zaś nie osłabić siebie a zachować jedność i pewien niezachwiany cel raz przyjęty, postanowiliśmy zachować towarzystwo Filomatyczne tak jak było, tajemne, i nieprzyjmować do siebie chyba kogo coby z zupełną szczerością i pewnością przyłączył się do naszéj familii; ale odtąd Filomaci postanowili szczególnie kierować czynnościami liczniejszego towarzystwa, dla którego potrzeba było natychmiast ułożyć ustawy, i dać mu nazwisko, coby nie trąciło klubem lub konspiracyą, albo gotowaniem się do jakich niewczesnych rewolucyjnych ruchów. Jeżowski zaproponował nazwać to nowe towarzystwo Filaretami.

W pierwszym zaraz artykule ustaw zastrzeżono, że Filareci nie będą zajmować się polityką, a głównym ich celem będzie oświata, nauka, wzajemne braterstwo i miłość ojczyzny. Towarzystwo dzieliło się na grona czyli oddziały, stósownie do gałęzi nauk, jakim się oddawali jego członkowie i utworzono grona: prawników, literatów, lekarzy, matematyków i naturalistów. Każde grono miało swego prezesa, sekretarza i skarbnika, a całe towarzystwo głównego prezesa i sekretarza; wszystkie wybory odbywały się otwarcie i większością głosów. Żadnych sekretów ni hierarchicznych wymysłów, żadnych znaków, ni ceremonii, mistrzów ni sędziów. Ustawy były krótkie i jasne, przyrzekano tylko przed nienależącymi do towarzystwa nie wyjawiać jego bytu, tak dla uniknienia nieprzyjemności od strony władz rządowych i uniwersyteckich, jako też dla dobra samych Filaretów, aby nie szukali chluby z dobrych uczynków przed światem, a w cichości oddawali się naukom, zachowując między sobą zgodę, braterstwo i obyczajność.

Każdy, kto mógł, płacił filareckiego podatku złoty na miesiąc, a pieniądze obracano na książki, utrzymanie czytelni i niezbędne potrzeby.

Na posiedzeniach czytano prace w przedmiotach, które odpowiadały gałęzi nauk należącéj do grona i toczyły się rozprawy

w przedmiotach naukowych i literackich. Członkowie nie tylko ćwiczyli się w sztuce pisania, ale też nabywali daru rozprawiania ustnie z umiarkowaniem i jasno w przedmiotach częstokroć zawiłych, przestrzegając wzajemnie przepisów dobrego wychowania, czystości języka i poprawności stylu.

Że zaś nie mieliśmy salonów na liczne zebrania i ostrożność nakazywała unikać gromadnych schadzek, mianowano i wysyłano na posiedzeniach z każdego grona delegatów na posiedzenia innych gron, a ci delegaci byli obowiązani zdawać sprawę, każdy przed swojem gronem, z czynności grona, do którego byli posłani. Mogli jednak Filareci, którzy mieli czas i ochotę, iść na posiedzenia wszystkich gron bez wyjątku, nawet nie będąc delegatami do nich, mogli nawet zabierać głos na nich, ale nie mieli prawa mięszania się do wyboru urzędników w gronach, do których nie należeli.

Z największą łatwością, bez oporu, i ze zgodą powszechną, zawiązało się w jednym tygodniu kilka gron Filaretów, wybranych po większéj części między Promienistymi, co wzięli byli udział w ostatniéj majówce. Kto ich wybrał, kto ich zebrał i urządził, nie pytano się: była to sprawa filomacka, dobrze ułożona i tak przywiedziona do skutku, że każdy z Filaretów, a znalazło się ich do stu na pierwszych posiedzeniach, sądził że był założycielem towarzystwa. Było jednak wypadkiem bardzo naturalnym, że na prezesów i sekretarzy pierwszych gron wybrali Filareci samych prawie Filomatów, jako promotorów, o których towarzystwie nie wiedzieli, ani się jego bytu domyślali. A chociaż Filomaci kierowali czynnościami Filaretów i na swoich tajnych posiedzeniach naradzali się odtąd głównie nad utrzymaniem między nimi zgody, porządku i uchronieniem ich od zejścia z obranéj drogi, starali się jak mogli badać ich ducha, zadosyć czynić ich chęciom i dążeniom, nie przeciwić się ich słusznym wymaganiom.

Zbierały się tedy grona Filaretów co piętnaście dni, niektóre co miesiąc, dla czytania swoich prac literackich i naukowych; żyli z sobą w bliższych stosunkach niż z nienależącymi do towarzystwa, pomagali sobie wzajemnie tak w utrzymaniu się jak i w nauce; szukali jedni drugich w wolnych od pracy godzinach, na zabawie i przechadzkach, na których może lepiéj objawiały się duch i życie towarzystwa niż na posiedzeniach.

Od początku też obmyślono uorganizować odczyty prywatne dla Filaretów i w tym celu, pierwszéj zimy, Kowalewski otworzył

lekcye łacińskiego języka i literatury starożytnéj, Józef Chodzko fortyfikacyi, Malewski prawa rzymskiego, Jeżowski historyi, filozofii etc., ja gotowałem się na otworzenie na rok przyszły kursu jeografii fizycznéj, według nowszéj metody, do czego i do innych odczytów sprowadziliśmy wiele książek niemieckich i angielskich. W istocie mogę powiedzieć, że wpływem Adama, Jeżowskiego i Malewskiego wzięto się szczerze do poznania języków i literatury niemieckiéj i angielskiéj, miano niejako w lekceważeniu autorów nowożytnych francuzkich.

Zamyślano też wydawać jakiś przegląd literacki i naukowy, do którego w istocie zaraz w pierwszym roku istnienia Filaretów ukazało się wiele prac i rozpraw godnych ogłoszenia drukiem, a w nich przebijał głównie duch narodowy i cel rozszerzenia oświaty w kraju.

Przeszła zima szczęśliwie, a na wiosnę znowu wyprawiono dwie czy trzy majówki, na które zapraszano młodzież nawet nie należącą do towarzystwa Filaretów, upatrując między nią zdolniejszych i sposobniejszych do nowego zaciągu. Na tych bowiem majówkach, noszących zawsze imię Promienistych, pod gołem niebem, na zielonéj dolinie, przy wzajemnem wylaniu się, łatwiej się otwierały serca i wychodziła na jaw dusza.

Pamiętam jedną z tych miłych schadzek w przewodną niedzielę, do folwarku zwanego Markucie, sławnego fijołkami i śpiewem swoich słowików, położonego na Popławach, o milkę od miasta, na wysokiem wzgórzu, z którego opodal widne były Ponary, Bekieszowa góra i całe Wilno jak na dłoni. Nie byłać to majówka, ale kwietniówka, bo przewodna niedziela przypadała w kwietniu, i chcieliśmy tego dnia mieć wspólne święcone. Każdy niósł co mógł na to święcone: ten pieczonego baranka, ów szynkę czy półgęski, ów babę lub mazurka, nie jeden pieśń tylko nową lub stosowne do uroczystości wiersze, a większa liczba, dobre serce tylko, dobry humor i zdrowy żołądek. O świcie były zastawione stoły a na nich nic jeszcze; ale w pół godziny ożywiły się Popławy pieśniami ciągnących rozmaitemi drogami filareckich gron i zaproszonych gości z tłomokami i koszykami, a niejeden niósł w zanadrzu butelkę, choć było zapowiedziano, że tylko świeże mleko pić będziemy. W godzinę uginały się już stoły pod ciężarem przyniesionych jadeł; poświęcił je ksiądz i przystąpiono do podziału jaj wielkonocnych na tyle cząstek ilu było zebranych braci. Wzięto się do święconego nie bez wstępnych przemówień pana Tomasza wierszem i prozą i na przemian

śpiewano i deklamowano wiersze. Wesołość była powszechna, a przy końcu, kiedy się już gotowano do powrotu, siedzący na murawie pod drzewem nasz kochany Czeczot śpiewał swoję, umyślnie na ten dzień ułożoną pieśń:

Wstał pan Kwiecień z martwych ninie,
Uweselił lud swój mile,
Co wlókł zimą nudne chwile, }
Aleluja, aleluja! } bis - chór.

Zbiegają się bracia mili,
Aby jedli, aby pili,
A przystojnie się bawili, }
Aleluja, aleluja! } bis - chór.

Lecz nie mniemaj zrzędo jaki,
Że to już ich zwyczaj taki,
Aby żyli jak próżniaki, }
Aleluja, aleluja! } bis - chór.

Są oni i pracowici,
I cnotami znamienici,
Słowem, szanowni Lechici, }
Aleluja, aleluja! } bis - chór.

Lubią nauki i cnoty,
Piszą co kwartał roboty,
I dają co miesiąc — złoty! }
Aleluja, aleluja! } bis - chór.

I kiedyś przyjdą te lata,
Że z filareckiego świata
Powstanie zmarły Sarmata, }
Aleluja, aleluja! } bis - chór.

Do rządu i do bułata,
Powstanie z martwych Sarmata
I krzywdy swoje połata! }
Aleluja, aleluja! } bis - chór.

Po tej zwrotce porwali z radości Jana na ręce i o mało go z miłości nie udusili. Nigdy może w życiu nie widziałem tak uweselonéj młodzieży i tak serdecznego wylania się. Było na tem zebraniu półtorasta uczniów uniwersyteckich; przed jedenastą wróciliśmy do miasta i poszliśmy na mszę do św. Jana.

Z tego com dotąd powiedział, nie trudno przynajmniéj będzie zrozumieć, jakie rozmiary przybierał ruch, kierowany przez

Filomatów i jakiego planu trzymali się oni w rozwinięciu swoich czynności. Na wiosennych schadzkach i na zebraniach Promienistych, pod golem niebem, badano i poznawano młodzież, wybierano i robiono zaciągi do filareckiego towarzystwa, a w filareckich gronach upatrywano zdolniejszych i silniejszych, do utrzymania życia w ukrytem ognisku filomackiem.

Łatwo pojąć, że w takim stanie rzeczy, Filomaci nie mieli potrzeby zajmować posiedzeń swoich czytaniem rozpraw literackich czy naukowych, bo na to już były przeznaczone posiedzenia filareckie; ale narady Filomatów były odtąd częstsze, mozolniejsze, bo na nich chodziło o byt, bezpieczeństwo i moralne korzyści liczniejszego towarzystwa Filaretów, do którego w samem Wilnie przeszło 130 członków należało, a ich liczba rosła nieustannie.

Między innemi widokami, które mieli na pieczy Filomaci, było szczególniéj bronić Filaretów i młodzież uniwersytecką, która prędzéj czy późniéj mogła do nich należeć, od wpływu innych tajnych towarzystw i ich ajentów, którzy się poczynali pojawiać i bałamucić nieostrożnych.

Jakoż, pierwszéj zaraz zimy po zawiązaniu towarzystwa Filaretów dowiedzieliśmy się, że niektórzy z tych co byli uczestnikami pierwszych majówek a nie byli jeszcze weszli do Filaretów dali się wciągnąć pod zaklęciem jakichś wichrzycieli do tajemnego klubu, którego mistrze sami jeszcze nie wiedzieli czego chcą, ale już mieli na pogotowiu czarną izbę, przysięgi, ceremonie, trupie głowy, sztylety, znaki do poznania się i tym podobne ceregiele, któremi jak dzieci z ogniem bawili się i straszyli, a policya już była ich zwietrzyła. Nie tracąc tedy czasu delegowali Filomaci Łozińskiego i mnie, abyśmy się starali wejść jak najprędzéj do tego klubu i usiłowali zaradzić złemu. Rzecz nie była trudna do wykonania. Na trzeciem czy czwartem posiedzeniu tego klubu który już zakrawał na karbonarstwo, rozsądniejsi obrali prezesem Łozińskiego, który z urzędu swego zręcznie manewrując, przekonawszy się że trudno było reformować, puścił w przewłokę czynności zagorzalszych, wstrzymywał od częstego zbierania się bojaźliwszych i przed końcem jeszcze zimy, za wejściem dwóch czy trzech z tego klubu do Filaretów, rozwiązał się sam przez się klub bez oporu.

Pojawił się potem na wiosnę w Wilnie młody Ogiński, z jakąś propagandą sekretną, a na niego, jakby na grubszego zwierza, posłano samego pana Tomasza i trzech innych doświadczeńszych myśliwych. Mało się od niego dowiedzieli i on od nich,

ale przyjęli od niego polecenie do najskrytszych ruchów między młodzieżą i na tem się skończyło. Ten sam Ogiński, jeżeli się nie mylę, brał udział w tajnych towarzystwach warszawskich i petersburgskich które odkryto z rewolucyą Pestla i Murawiewa.

Przyjechał też później do Wilna młody Worcel i ktoś inny, których mieliśmy w podejrzeniu, że szukali tajemnych stosunków z uczniami, co dało powód naszym do poznania ich i śledzenia ich obrotów. Pokazało się jednak, że ich zamiary nie miały nic niebezpiecznego, może i nie mieli oni natenczas żadnych dobrze oznaczonych zamiarów względem młodzieży uniwersyteckiéj.

Za wiele byłoby z mojéj strony przypominać i chcieć wyszczególować mnóstwo wypadków i czynności, które wpłynęły na rozwinięcie naszych towarzystw. Sądzę, że Tomasz, Onufry, a może i Czeczot zostawili w swoich papierach szczegóły dokładniejsze od tych, które tu pod antypodami mogłem opisać. Dosyć powiedzieć, że od początku aż do końca, istniał w całéj swéj sile i jedności związek Filomatów, że on właśnie wpłynął bezpośrednio na organizacyą i kierunek o dziesięćkroć liczniejszego towarzystwa Filaretów i za ich pośrednictwem na duch młodzieży uniwersyteckiéj.

Duch ten i całego stowarzyszenia był czysto narodowy, patryotyczny, polski, ale wolny od niewczesnych spisków i konspiracyj, wolny od demagogicznych szałów i straszydeł, a zatem od rozdwojenia, zawiści i dzielenia się na partye; — był też nie zatruty dumą ani bezbożnością. Pod tym ostatnim względem nie będzie od rzeczy rzucić raz jeszcze okiem na przeszłość.

Nie byli wprawdzie Filomaci, i większa część Filaretów, bardzo pobożnymi katolikami, nie wszyscy dopełniali ściśle przepisów kościelnych i nie można ich było posądzać o zbyteczną uległość władzy duchownéj. Za świeży jeszcze był natenczas wpływ rewolucyi francuzkiéj i zagranicznych idei które owładały młodzieżą na początku wieku; za silny wpływ powszechnie sekularyzowanéj oświaty szkolnéj, mianowicie téj, którą nam przekazała komisya edukacyjna, a w któréj pierwszeństwo brały: starożytna, klasyczyzna literatura i historya, matematyka i nauki przyrodzone; zbyt też żywy był jeszcze urok Napoleonizmu, żeby w tym czasie tak ci, co dali początek owemu ruchowi między młodzieżą, jak ci, co nim owładnięci zostali, mogli się od początku przejąć gorącą wiarą i pobożnością przodków swoich. Caryzm mokiewski którego nienawidziliśmy, zdawał się na pozór wyzyskiwać katolicyzm na korzyść swoję, udawał że jemu

tylko zostawionem było protegować Jezuitów w Połocku i Petersburgu; Alexander całował ręce proboszczów; Siestrzeńcewicz w Petersburgu, odegrywał rolę, któréj nieodgadywano natenczas, a i między duchowieństwem naszem świeckiem, mianowicie wyższem, było wiele, fałszywego liberalizmu. Ludzie co uchodzili za uczeńszych i panicze, co powracali z zagranicy, byli niedowiarkami lub ich udawali. Z profesorów uniwersyteckich, od śmierci pobożnego dziekana księdza Mickiewicza, który wymagał od uczniów świadectw miesięcznéj spowiedzi, jedni tylko Niemczewski, Jan Śniadecki, rektor Malewski, może który ze starszych emerytów chodzili na mszę, a w ogólności było w modzie szydzić z księży i nabożeństw.

Z tém wszystkiem mogę powiedzieć, że i pod względem religijnym ukazali się Filomaci wyższymi nad swój czas, i jeżeli nie wpoili w młodzież wiary katolickiéj, w któréj sami nie byli jeszcze silnymi, to przynajmniéj wywarli pewien kierunek nieznany przed tém, który utorował drogę za nadejściem cięższych czasów do nawrócenia się wielu ku Kościołowi i prostocie wiary ojców.

Pan Tomasz, synowiec jednego z najzacniejszych proboszczów, Adam, synowiec gorliwego katolika, tylko co wspomnianego dziekana pojezuity, który się nim opiekował, i większa część Filomatów i Filaretów, co byli pobierali nauki w szkołach pijarskich, dominikańskich i bazyliańskich: a byli synami dobrych, pobożnych matek, nie pozwalali na najmniejsze żarty i szyderstwa z wiary, szanowali Kościół i księży, byli przykładem w obejściu się. Wiadomo, że Adam w swoich balladach, w hymnie do Najświętszéj Panny, w swoich Dziadach, które napisał w tym czasie i które wywarły wielki wpływ na wileńską młodzież, ukazał młodym poetom źródło, w którem powinni szukać natchnienia i piękności naszych podań narodowych, odkrył przed nimi nasz wielki stary świat i stare niebo. Zan w swoich improwizacyach i ognistych przemowach do Promienistych, podnosił ducha młodzieży do wyższéj sfery uczuciowéj, nadmateryalnéj. Czeczot w swych pieśniach sielskich malował prostotę i cnoty naszego pobożnego ludu. Obudzenie romantycznej poezyi, a powstanie na francuzką szkołę wielu literatów warszawskich przyczyniło się też może nie mało do ochronienia naszych młodych akademików, co się brali do pisania, od owéj oschłości i sofistycznych formuł, które tak popłacają u wolnomyślicieli. Już nadmieniłem, że był między Filomatami ksiądz, który potem wyszedł na bardzo

gorliwego i pracowitego proboszcza; między zaś Filaretami mieliśmy dwóch innych pobożnych księży, z których ksiądz pijar Lwowicz zasługuje na szczególniejsze wspomnienie. Znałem go był jeszcze kiedy pełnił obowiązek profesora w szkołach szczuczyńskich (gubernii grodzieńskiej); potem ćwiczył się w naukach matematycznych przy uniwersytecie wileńskim. Był bardzo wysoki, o trzy czy cztery cale wyższy od najroślejszych uczniów uniwersytetu, podługowatej twarzy, blady i pięknych oczu, bardzo poważny i łagodnego obejścia się ze wszystkimi, lubili go Filareci i miał wielką u nich wziętość i znaczenie; najupartszych nawet ciągnął mimo ich woli ku wierze i pobożności. Prości nawet żołnierze, którzy nas potem strzegli w więzieniu, bali się go i byli dla niego z wielką czcią i uszanowaniem.

Z tego wszystkiego com powiedział, można pojąć dla czego członkowie wymienionych stowarzyszeń, Filomaci i Filareci nigdy się nie targnęli w swoich pismach i rozprawach na wiarę katolicką, wiarę przodków, dla czego się zawsze znajdowali przykładnie na uroczystościach kościelnych, mianowicie w święta patronów polskich, jak na przykład, na procesyach święto-kazimirskich i w dzień Śgo Stanisława, tudzież na mszach sobotnich w Ostréj-Bramie, w Kalwaryi na Zielone Świątki, i jak miłe dla nich były kolędy i północna rezurekcya na Wielkanoc.

Cztery czy pięć lat trwała cała ta czynność i praca kilku z razu młodych ludzi, związanych w szczupłe nader grono filomackie i rozwinięta potem w towarzystwie Filaretów i na majówkach Promienistych. Uniwersytet już liczył więcéj tysiąca uczniów, nauki szły dobrym torem, ustały dawne burdy i zawichrzenia między młodzieżą; wielu zdolniejszych wyjeżdżało lub gotowało się do wyjazdu za granicę, dla udoskonalenia się w naukach i wszystko zapowiadało świetną przyszłość i postęp.

Tu należałoby zatrzymać opowiadanie, oszczędzając wspomnień, które rozdzierają serce i chmurzą umysł, ale kto zaczął historyą musi jéj dokończyć.

* * *

Zdarzyło się, że głupi jakiś a niewczesny rokosz między gwardyą cesarską w Petersburgu, był przyczyną, że Aleksander posłał ją za karę w zimową porę na przechadzkę po śniegu do

Rosień, do Szawel i do Wilna. Przyszła tedy do nas na posterunek brygada nieproszonych gości pod dowództwem w. ks. Mikołaja, od niedawna ożenionego z królewną pruską. Mikołaj cały zajęty musztrami, które były jedyną jego namiętnością, nie miał czasu wdawać się w sprawy akademickie a może i nie wiedział o bycie uniwersytetu; ale między jego oficerami, synami najbogatszych i najdumniejszych bojarów, a naszą młodzieżą, która ich nielubiła, przychodziło często do zwad i pokątnych zajść, już to na teatrze i po salonach, już na ulicy. Na jednéj przechadzce w marcu na Antokolu, młody jeden porucznik z pułku w. księcia, spotkał się z 17letnim uczniem gimnazyalnym* który mu nie chciał ustąpić z drogi; ofuknął oficer i powiedział coś nieobyczajnego a student mu dał policzek. Rozeszli się na pozór spokojnie, ale oficer nazajutrz szukał studenta, wdała się policya, i owóż początek złości Mikołaja.

Na wiosnę była rewia całéj gwardyi cesarskiéj za Zielonym mostem. Zjazd Alexandra w Wilnie i jego trzech braci, między którymi pierwszy raz obaczyliśmy owe szpetne zwierze, kniazia Konstantego. Za nim przywlokło się wielu z jego tajnéj policyi i między nią Nowosilców, który już był powziął odrazę i nienawiść ku naszemu uniwersytetowi, jako dziełu Czartoryskiego. W bardzo złym humorze chodził w. książe Konstanty po Wilnie; sam swoją ręką zrzucił czapkę Adolfowi Kublickiemu, który będąc krótkiego wzroku nasunął mu się nieostrożnie; a gdy się dowiedział o zaszłéj burdzie między oficerem i studentem, najsurowiéj rozkazał jenerał-gubernatorowi Korsakowowi i policmajstrowi miasta wyśledzić rzecz, tyczącą się zniewagi wspomnionego porucznika, któremu, już to przez wzgląd na młody wiek ucznia, już dla zakrycia przed rządem naszego uniwersytetu, starano się dowodzić na śledztwie i w opinii publicznéj, że ów student nie należał do gimnazyum, że był po prostu czeladnikiem jakiegoś szewca. To jeszcze bardziéj jątrzyło umysł księcia Konstantego.

Usunięto porucznika z gwardyi, ale téż razem tak się wzięto do śledzenia uczniów i do szpiegostwa, że przestraszony tem szanowny i kochający nas rektor, powziąwszy niejaką wiadomość o istnieniu tajnych towarzystw, jako téż o osobach mających

* Był nim Edward Puljanowski ze Słuckiego powiatu, wówczas uczeń Tomasza Zana, późniéj żołnierz, w końcu rolnik i ojciec rodziny, powszechnie dla zacności swéj i dobrego serca kochany. Przyp. Red.

najwięcéj wpływu na młodzież, uprosił i zniewolił Zana i innych, aby natychmiast zawiesili wszelkie czynności i tajne zebrania, jeżeli nie chcą zguby uniwersytetu i jego rozwiązania.

Nie było czasu ociągać się; policya śledziła kroki wielu z naszych towarzyszy i nie trudno by było jéj zdybać na zebraniach liczne grona filareckie. Postanowiono więc do nieograniczonego czasu zawiesić wszystkie posiedzenia i przyczaić się; ale się nie na tém skończyło. Doszło do uszu rektora, że chociaż czynności filareckie ograniczały się szczególnie do prac literackich i naukowych, miały jednak pewną organizacyę, podlegały ustawom, i przechowywano dosyć obszerne archiwa. Przezorny tedy Malewski, w obawie aby nie schwytano papierów, zmusił Zana, Pietraszkiewicza i Jeżowskiego do zebrania wszystkich protokółów, statutów filareckich i dokumentów w jedno miejsce, dla spalenia ich w obec delegowanego na to od siebie. Płakał jak dziecko pan Pietraszkiewicz, patrząc na płomienie które pożerały tyle niewinnych rzeczy i pomimo niebezpieczeństwa jakie groziło, nie mógł się wstrzymać od przechowania ukradkiem niektórych szpargałów, które przez długi czas jeszcze przeleżały podobno pod strzechą w jakiéjś stodole. Co zaś do papierów filomackich toby ich i pod torturą nie wydał pan Onufry, i nikomu z nas nigdy na myśl nie przyszło, żeby to towarzystwo było kiedy wykryte.

Rok już upływał od czasu onéj nieszczęsnéj rewii i popalenia papierów w cichości; a choć policya w. ks. Konstantego i Nowosilcowa czujna była i coraz bardziéj wdzierała się w sprawy uniwersyteckie, nigdyby może nie przyszło do odkrycia Filaretów, i choć uszczuplone koło filomackie wyjazdem Franciszka Malewskiego powtórnie za granicę i oddaleniem się na profesorów Sobolewskiego i innych, poczynało myślić o odnowieniu posiedzeń, kiedy niespodzianie w miesiącu październiku, uwiedziony niewiedzieć jaką pokusą Jankowski wydaje Nowosilcowi tajemnicę bytu towarzystwa filareckiego, do którego należał. A jako kłamstwo idzie zawsze ze zdradą, tak i biedny Jankowski, odurzony może wielkiemi obietnicami senatora, przedstawił towarzystwo nie jakiem w istocie było, stosownie do swoich ustaw i organizacyi, ale jako wielkie sprzysiężenie patryotyczne na obalenie rządu.

Trudno mu było przypomnieć nazwiska wszystkich Filaretów, których do półtorasta liczono, spisał jednak na liście więcéj stu i wszystkich bez wyjątku uwięziono, porywając jednych w mieście, drugich na wsi, po domach, i napełniając cały kraj

strachem i zgrozą. Wyznaczona komisya śledcza rozpoczęła natychmiast tajną inkwizycyą pod czujnem okiem i rozkazami Nowosilcowa i jego przyjaciela Bajkowa. Jankowski nie wiedział o Filomatach ale domyślił się od kogo pochodziły zawiązanie i kierunek towarzystwa; wskazał Zana jak głównego mistrza i naczelnika.

Tu się znowu rozbudziło życie filareckie. Jak pierwéj po gronach, tak teraz po klasztorach, gdzie każdy pod zamkiem i pod silną strażą w osobnéj celi był uwieziony, stanowili związek ściślejszy niż kiedykolwiek. We dnie wodzono nas do sądu; każdego pod strażą dwóch z karabinami żołnierzy i ciągnięto inkwizycye z całą formalnością moskiewską, z groźbami. podstępami, podchwyceniami za słowo, kłamstwami i wymysłami, których używają pospolicie na wyśledzenie zbrodni, tylko że nie bito; nocami zaś przekupywaliśmy szyldwachów, którzy nam pozwalali schodzić się i przepędzać weselsze godziny. Za więzieniem była zima, mrozy i grożący nam wszystkim Sybir; w więzieniu na schadzkach panowała wiosna i nadzieja w przyszłość choć daleką Polski.

Nie było się w istocie czego lękać od najsłabszych nawet Filaretów, żeby w zeznaniach swoich nie wydali czego, bo rzeczywiście każdy Filaret stosując się do prawdy nie mógł zataić, że pierwszym artykułem w organizacyi towarzystwa było zabroniono zajmować się polityką i że na posiedzeniach czytano rozprawy naukowe i literackie. Ale Nowosilców i Bajków, którzy na obżarstwie, opilstwie i rozpuście czas pędzili, nie spieszyli się z ukończeniem śledztwa i chodziło im o pokazanie przed cesarzem, że była to rzecz wielkiéj wagi i spisek rewolucyjny.

Zana od początku strzeżono w samym pałacu, gdzie odbywała swoje czynności komisya i nielitościwie się z nim obchodzono: on brał odpowiedzialność na siebie za wszystko, chociaż nie było istotnéj winy. Jankowski upierał się przy swojem, ale przy końcu podobno odwołał czego nie był w stanie dowieść i nie upierał się.

Tymczasem odbywały się, jakem powiedział, schadzki nocne po więzieniach klasztornych i utrzymywały się choć z wielką trudnością i narażeniem się komunikacye między klasztorami, nie dla naradzania się nad tem co mamy mówić przed komisyą, (bo można powiedzieć, że to już było przewidziane i obmyślone od założenia towarzystwa, aby nie narazić nikogo na zgubę) ale aby się wzajemnie pocieszać i nieupadać na duchu. Więźnie

z jednego klasztoru pisali do drugich, wychwalając każdy swoje więzienie i rozweselając jak mogli jedni drugich.

U Bazylianów siedzieli: Jan Sobolewski, Freyend, ks. Lwowicz, Giedrojć, Adam Suzin, Aleksander Chodźko i inni uczniowie Zana, a w połowie listopada przywieziono ze wsi i osadzono w tymże klasztorze mnie i otyłego Jakuba Jagiełłę.* Północ była dla nas wschodem słońca; zbieraliśmy się w celi Adama i aż do świtu przepędzaliśmy noce na rozmowie cichéj ale nie smutnéj. Freyend przyrządzał herbatę i nas rozśmieszał. Kto dniem pierwéj był zawołany na śledztwo, przynosił nowiny jakie uzbierał w sali i na ulicy. Ksiądz Lwowicz na drugi dzień po uwięzieniu go, spadł przechodząc nocą korytarzem ze schodów i był przez miesiąc niebezpiecznie chory; dla tego późniéj od innych począł należeć do naszych nocnych schadzek i pamiętam kiedy pierwszy raz o północy wszedł do nas, jak nas zabawił i rozczulił, mówiąc z wyciągniętemi rękami poważnie: „kozy, ucieszne kozy, ma trzodo jedyna.“ W téjże celi na Nowy Rok czytał nam Adam swój piękny wiersz: „Skonał rok stary“ etc. a z jutrzni, w noc Bożego Narodzenia, dochodziła nas przy wtórowaniu dalekiego organu przytłumiona pieśń „Przybieżeli pastuszkowie“ — która to pieśń przenosiła nas w progi domowe gdzie po nas matki i siostry płakały. Zdarzyło się też, że jednéj nocy o pierwszéj godzinie przyszło policmajstrowi zwiedzić nasze więzienie; szyldwachy spały, my skupieni w izbie Adama, piliśmy spokojnie herbatę; wtém rozruch na korytarzu, szczęk kluczy i karabinów; przestraszony podoficer zdobył się na koncept, że od razu nie mógl trafić na klucz do drzwi, które wiodły do naszego korytarza; policmajster pękał ze złości, ale zyskaliśmy minutę czasu, i w momencie, kiedy wysadził drzwi, już każdy z nas był w swojem łóżku i zagasił świecę, a przy każdego drzwiach stał szyldwach z karabinem, wyprostowany jakby przed cesarzem. Pamiętam też jak nas bolało, kiedyśmy się dowiedzieli o wywiezieniu studentów: spędziliśmy tę noc jakby oniemieli, smutnie, nieuważając nawet na żarty Freyenda i pocieszne uwagi Jagiełły.

Przez cały czas więzienia Adam, wyjąwszy wspomniany wiersz, nic nie pisał, ale czytał wiele, i był bardzo towarzyski z nami, przyjemny w rozmowie; niekiedy się zamyślał i milczał, ale był spokojny.

* Był późniéj profesorem w gimnazyum Słuckiem. Przyp. Red.

Tak przeszły zima, wiosna i lato dla naszych Filaretów i Filomatów w więzieniach; rzadko komu udało się wyrobić u Nowosilcowa i to nie za staraniem swojem ale przez zabiegi kobiet i rodziców; że go wypuszczono na wolność, pod dozór policyi.

Nie zgoła nie wykazano, coby nosiło na sobie cechę zbrodni stanu, i trzeba było do tego całéj złości i nienawiści ku nam Nowosilcowa, żeby w końcu wycisnąć z téj sprawy akt oskarzenia. Wyszedł dekret skazujący wszystkich prawie co byli Filomatami i kilku Filaretów na wywiezienie w głąb Rossyi; Zana skazano do Orenburga, mnie, Piaseckiego i Kozakiewicza oddano pod wieczny dozór policyi z usunięciem na zawsze od wszelkiéj służby cesarskiéj, a wszystkich na zwrót kosztów etc. etc.

W jesieni wszystkich wypuszczono na wolność, Zana wywieziono prosto z więzienia na Sybir, innym zaś skazanym na wywiezienie w głąb Rossyi dano czas niejaki na przygotowanie się do podróży, z czego też nasi nieomieszkali korzystać, bo tego krótkiego czasu użyli na ostatnie tchnienie filareckiego życia na Litwie.

W istocie, pomimo surowości środków i śledzenia policyi, przepędzali oni noce gromadnie po dobrze zamkniętych domach, w towarzystwie Filaretów i dawnych Promienistych, którym wolno było pozostając w kraju, na zwyczajnych zabawach, przypominać błogie lata istnienia owych towarzystw i gotować się do znoszenia cierpień i nieszczęść jakie ich czekały.

Byłem natenczas na wsi, w domu stryja mojego, w Słonimskiem. Pojechałem do Wilna dla pożegnania się ze skazanymi na wygnanie i przepędziłem z nimi ostatnią noc całą aż do świtu w jakimś domu, w głębi, na poddaszu, przy ulicy Ostrobramskiéj, noc któréj nigdy nie zapomnę. Znajdowali się wszyscy prawie Filomaci i wielu Filaretów, Felix Kulakowski, Cypryan Daszkiewicz, młodzi poeci i nawet niektórzy z nowych uczniów uniwersyteckich, którzy nie należeli byli do naszych towarzystw, a zdawali się wiązać przeszłość naszę z przyszłością. Ale nie było kochanego Tomasza, tylko jego dwaj bracia: Stefan i Ignacy. Téj nocy wszyscy byli raczéj weseli niż smutni, nie pozwalano nawet ubolewać ani przypominać co się przecierpiało. Kulakowski bawił nas nieustannie, opowiadał i odegrywał role osób w sławnem spotkaniu się księdza Czerskiego (tegoż samego co potem się zniósł z odszczepieńcem Runge, a którego posłał był Korsaków do w. ks. Michała dla dawania lekcyj języka polskiego) z wielkim księciem Michałem w Rosieniach. Odśpiewaliśmy

wszystkie nasze pieśni smutne i wesołe, filareckie i majowe, począwszy od „Héj użyjmy żywota“ aż do „Toastów.“

Przy końcu nalegano na Adama żeby co zaimprowizował. Zrazu niechciał, ale po chwili Freyend zagrał na flecie pieśń jego ulubioną „Już słońce zaszło, psy się uśpiły“ i na tę nutę śpiewając, improwizował balladę Basza (drugą część). Rozeszliśmy się w milczeniu, po cichu, kiedy już dzwoniono na pierwszą mszę w Ostréj Bramie, a lud klęczał na ulicy.

*

* *

Tu się poczyna epoka naszego rozproszenia. Orenburg, gdzie siedział Zan, stał się stolicą dla rozrzuconych po niezmiernéj przestrzeni od białego do aralskiego morza naszych wygnańców. Nieustawali oni w zawodzie: już nie między swoimi ale na nieprzyjacielskiéj ziemi i między wrogami sieli ziarna: nie owe nasiona złości i niepokoju, płodne w bunt i rokosze, które jak wiemy, kończą się między moskalami na nożu i powrozie, ni owéj wolności rzeźniczéj i swawolnéj, którą Skarga nazywa wolnością filiorum Belial, bo ta nigdy nie była siewbą naszą, ale nasiona surowéj cnoty i uczciwości, nie tylko w celach ale i w środkach; odwagi nie tylko bojowéj ale i obywatelskiéj, wiary w sprawiedliwość Bożą i nieuniknioną karę za ujarzmienie. Mozolnać to była ich praca i niewdzięczna! Wkrótce śmierć poczęła ich zmiatać jednego po drugim. Pierwsi Sobolewski i Daszkiewicz przenieśli się do wieczności. Umierający w Moskwie Daszkiewicz prosił na Boga, aby jego kości pochowano na Litwie i nieodstępny jego towarzysz Pietraszkiewicz wyjednał u rządu, że mu pozwolono spełnić wolę nieboszczyka. Przed końcem zimy przywiózł pan Onufry zwłoki Daszkiewicza z Moskwy do Wilna, gdzie za jego duszę odprawiono obchód pogrzebowy w kościółku świętéj Anny u Bernardynów.

*

* *

Pozostali w kraju Filareci, Promieniści i powiązani w ostatnim roku z nimi młodzi uczniowie uniwersyteccy, choć większa

ich liczba osiadła już była na wsi, lub rozpędzona po całéj Litwie, Wołyniu i Podolu, mieli zawsze obrócone serca swoje i widoki ku Wilnu, gdzie się uczyło nowe pokolenie pod wpływem świeżych podań i pamiątek. W pięć lat nie spełna spotkaliśmy się znowu, choć nie wszyscy, już nie na majówce lub posiedzeniu, lecz przy szabli i w narodowem powstaniu. Tu się ukazał legion akademicki, dzieci nasze, niektórzy z Filaretów, jak Parczewski, Szemioth, Pol, Chodźkowie, Kubliccy, tworzyli kosztem swoim oddziały partyzanckie; drudzy, jak Wierzbołowicz, Zabiełło, przyszli z wojskiem polskiem na instruktorów, inni jak Przecławski, Wołłowicz, Kozakiewicz pełnili ciężką służbę emissaryuszów: rzadko kto pozostał w domu przy starym ojcu czy podeszłego wieku matce.

Nie wszyscy przeżyli upadek sprawy. — Walecznego Pola, w którego twarzy i układzie upatrywano wielkie podobieństwo do Lelewela, pochowaliśmy na granicy pruskiéj w Acheken; tamże umarł z ran odniesionych pod Powendownią młody Buchowiecki, syn zamożnego obywatela; reszta poszła na tułactwo, i z tych niektórzy, jak Michał Wołłowicz i Szymon Konarski wrócili jeszcze szukać śmierci w swoim kraju, inni wymarli na obcéj ziemi; mało komu Opatrzność pozwoliła zasnąć spokojnie w domu ojca. Niech im wszystkim świeci wieczna światłość, aż się obudzą na głos Boży!

Santjago (Chili) w marcu 1870 roku.

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Strona	*wiersz*	*wydrukowano*	*powinno być*
8	14	wprowadzono	wprowadzano